

MOJA

BOLIWIA



Wizyta Prezydenta w Coripacie

Powodem tego niesłychanie ważnego wydarzenia w dziejach Coripaty była 29ta rocznica założenia w Coripacie ADEPCOCA, czyli Departamentalnego Stowarzyszenia Producentów Koki. Taka rocznica ni w 5 ni w 10, ale prezydent przyleciał swoim śmigłowcem. Miejscem spotkania był stadion, który już od świtu wypełniał się ludźmi. Tak ważne wydarzenie oczywiście było transmitowane przez wszystkie lokalne rozgłośnie, ale nie mogłem sobie odmówić tej frajdy i wybrałem się tam osobiście. Takiego tłumu jeszcze na ulicach Coripaty nie widziałem ;p A że moja obecność na spotkaniach masowych zawsze wzbudza spore zainteresowanie, więc całą drogę przebyłem w towarzystwie tych, którzy mnie zagadywali. Ja też im nie byłem dłużny i zacząłem wypytywać skąd i kiedy przyjechali. Jak się okazało, z każdej wspólnoty miał się stawić reprezentant każdej rodziny. Najczęściej był to transport zorganizowany i ludzie przyjechali autobusami i ciężarówkami. Po drodze spotkałem kilku „actas” - spisujących obecnych na spotkaniu. Do tego już przywykłem, ale nadal nie mogę się temu nadziwić, że na każdym, nawet najmniej istotnym zebraniu jest lista obecności oraz nierozłącznie z nim powiązany system kar. Za nieobecność na spotkaniu z prezydentem, kara wahała się w granicach 100 - 200 Boliwianów (ok. 50 - 100zł). Niby to niedużo, ktoś może pomyśleć, ale tylko w jednym miesiącu można nazbierać ok. 300 Bs. kary! A przy najniższej średniej krajowej, która wynosi 1000 Bs. to już znaczący wydatek. Ale wracając do wizyty prezydenta, to przed samym stadionem zastała nas blokada - kilku pracowników ochrony wygłupili się doszczętnie i chcieli sprawdzać wszystkim dowody osobiste. A że je mieli tylko nieliczni, to żeby prezydent nie mówił do kilku osób, to zaczęli wpuszczać wszystkich, ale żeby nie podpadło, że nic nie robią, to mówili do wszystkich: pokaż dowód. No co najczęściej padała odpowiedź: nie mam. I podnosili sznurek, którym

zagradzali przejście. Mnie też zapytali, na co odpowiedziałem jak wszyscy: nie mam. To ich jednak nie usatysfakcjonowało, gdyż jako obcokrajowiec zapewne przyszedłem dokonać zamachu na prezydenta. Więc dodałem, że tutaj mieszkam, a po dowód nie będę się wracał do domu, bo inni bez niego też przechodzą. Nie dyskutowali więcej ze mną i mnie przepuścili. Zająłem najbliższe wolne miejsce z brzegu, co z moim wzrostem nie stanowiło problemu w oglądaniu sceny z prezydentem.

Gorzej mieli ci za mną, ale głośno nie protestowali – byli zapisani na liście, a to im w zupełności wystarczało do szczęścia. Z resztą atmosfera panowała raczej piknikowa, bo co rusz były budki z jedzeniem i słodyczami, z których to zapach smażonego mięsa na nie najświeższym oleju, napawał głodem żołądki stojącej rzeszy ludzi. Na szczęście było nagłośnienie, więc dało się słyszeć prezydenta, a nie tylko „*salchipapa, refresco*”. Moje pierwsze wrażenie, jakie mi się nasunęło, to porównanie tego wszystkiego z wystąpieniami Pierwszego Sekretarza Partii w kraju nad Wisłą w latach między II wojną światową, a dniem rozwiązania PZPR. Po powitaniach nie mających końca, przerywanych co chwila oklaskami i muzyką różnych grup, do której zawsze jakaś „*cholita*” wrywała prezydenta i całą świtę różnych szczebli lokalnych do tańca. A co do wartości merytorycznej, to było standardowo. Zaczęło się od podziękowań za zaproszenie i trudu, jaki prezydent podjął w związku z tą wizytą. Następnie wysłuchaliśmy wykładu na temat historii zmiany polityki wobec koki. Zaczęło się od zmiany Konstytucji, gdzie znalazł się specjalny dla niej rozdział. „Koka to nie kokaina” - te słowa padały co chwilę, na co lud odpowiadał żywiołowymi oklaskami. Jak to prezydent pojechał do Austrii i USA, gdzie nikt go nie zatrzymał na granicy z przewożoną koką, i którą ostentacyjnie zaczął żuć na wszelkich spotkaniach. Owocem tych wizyt miał być eksport koki z Boliwii do tych krajów, ale z powodów łatwych do przewidzenia, nie doszedł do skutku. Jako wątek osobisty, zbliżający do ludu, opowiedział historię, kiedy jeszcze jako działacz grupy „*cocaleros*” Chapare (producentów koki z Chapare - to region w departamencie Cochabamba o podobnej charakterystyce do Yungas) przyjechał do Coripaty. I tu pojawił się przywilej obcowania z ludźmi: usłyszałem komentarze, jaką to „impresę” urządzili i jak Evo Morales poległ na ulicy, gdzie zajmował chodnik aż do rana ;> Nie mogło się także odbyć bez obietnic, więc będziemy mieli asfaltowe i bezpieczne drogi łączące nas z La Paz, w pełni wyposażone szpitale i więcej pieniędzy na ochronę i ratowanie życia, szkoły i Bóg jeden wie tylko co jeszcze... Ogólnie kraina miodem i mlekiem płynąca! Ale nie obyło się też bez słów zachęty i mobilizowania do większej pracy, bo „Boliwia potrzebuje więcej koki”. W odpowiedzi padały takie jak na pytanie tow. Gietka:

„Pomożecie?”, czyli będziemy pracowali więcej, będziemy zakładali nowe kokale itp. Takie tylko nasunęło mi się pytanie... ile Boliwia potrzebuje koki? Nie mogąc wytrzymać dłużej stania na nogach oraz poganiany odgłosami z żołądka, wróciłem do domu na obiad. Po drodze wstąpiłem do jednego z biur podróży i zapytałem, ile takis (worki z koką o wadze 25kg) wywozi się codziennie z Coripaty. Pani uprzejmie powiedziała, że nie ma stałej statystyki, ale ogólnie rzecz biorąc, to ok 30 - 50 takis, co daje ok. 700 kg! Tylko z samej Coripaty! I to tylko autobusami, ale wyjeżdżają też ciężarówki, i to z prawie każdej wspólnoty. Więc nie będzie przesadą, jak powiem, że każdego dnia (statystycznie) z Coripaty i okolicy wyjeżdża 1000kg koki. A gdzie inne miasta, tj. Asunta, Chulumani, Yanacachi, Irupana i Caranavi... Wobec tej statystyki, każdy Boliwijczyk musiałby zużyć codziennie ok 0,0012 kg koki, co raczej jest niemożliwe. Stąd odpowiedź jest jasna, po co „więcej koki”...

Podczas obiadu posłuchałem pożegnania przez radio, po którym prezydent odleciał do Cochabamby.